665

Fot. Zofia Nasierowska

Nie tylko uśmiech

Rozmawiamy dziś ze znakomitą aktorką, BARBARĄ KRAFFTÓWNĄ, znaną ze swych ról scenicznych, filmu, radia i telewizji.

— Pani Basiu, nazwano Panią kiedyś „Ćwiklińską epoki Witkacego i Mrożka". Czy podoba się Pani to określenie?

— Jest ono dla mnie bardzo zaszczytne, Mieczysława Ćwiklińska była przecież wielką aktorką. Uznać ją można za symbol popularnej komedii, królującej wówczas, przed laty, na scenie. Mnie osobiście, a sądzę, że i dzisiejszej widowni, bliższy jest Witkacy i Mrożek, ich propozycje, zawierające ładunek przeżyć zupełnie innych jakościowo.

— Ale, mimo owych różnic w teatralnym tworzywie jest Pani, tak samo jak ongiś Ćwiklińska, pełna uroku i zabawna równocześnie...

— Cóż, jestem komikiem. Z urodzenia i z natury. Już jako dziecko uchodziłam w rodzinie za komika. I wie pani — mój ojciec nazwał mnie żartem „Ćwiklińska!" Potem, kiedy pojawiłam się w szkole teatralnej, moi profesorowie zawyrokowali od razu: to będzie aktorka charakterystyczno-komediowa. I tak już zostało. Zawód i lata pracy spowodowały, że moje wrodzone cechy zostały jak gdyby wyciągnięte na światło dzienne. Ale nie można nauczyć się bycia komikiem — forma komediowa wynika z psychofizycznych możliwości człowieka...

— Ale, jeśli wolno być niedyskretną: jaka jest Pani na co dzień, poza sceną?

— Sama zdaję sobie sprawę z tego, że mój odbiór spraw życiowych jest typowo odbiorem komika. Zdarzenia i zjawiska, które innych drażnią — mnie częściej rozśmieszają. I dlatego moje reakcje rozładowują napięcie. Nie tylko moje ale i mojego otoczenia.

— Wciąż mówimy o komedii, ja jednak muszę zaprotestować. Byłoby chyba pomyłką, gdyby zakwalifikować Panią wyłącznie do tego, skądinąd sympatycznego „gatunku" aktorów, którzy nas tylko rozbawiają. Nawet, jeśli uprawia Pani humor ze znakiem najwyższej intelektualnej jakości, uroczy i odrobinę przewrotny. Ale poza rolami komediowymi ma Pani na swym koncie wiele ról dramatycznych. Nie będę tu mówić o teatrze, którego zasięg jest mniejszy, ale przypomnę znaną chyba wszystkim rolę Pani w znakomitym filmie Hasa „Jak być kochaną". Chociaż nakręcony przed 12 laty, przetrwał próbę czasu, także i dzięki Pani kreacji. Jak udaje się Pani zrzucić z siebie „skórę" komika, wcielić się bez reszty w postać czysto dramatyczną?

— Jestem aktorką i znam prawa rządzące dramatem, dysponuję niezbędną w tym zawodzie techniką, operuję nią świadomie. Dzięki temu mogę zrzucić z siebie to, co komediowe. Zresztą w każdym z nas tkwią ślady jakichś tragicznych przeżyć. W „Jak być kochaną" mogłam odwołać się do własnych wspomnień z ponurego okresu wojny i okupacji, choć przeżywałam je jeszcze jako dziewczynka. Cieszy mnie zresztą, że właśnie ten film nie zestarzał się, że wciąż przemawia do widza, nawet z małego ekranu. Stało się tak dlatego, że na ten obraz złożyło się wspaniałe tworzywo, wspaniały reżyser, wspaniała ekipa.

— Które ze swoich ról wspomina Pani najcieplej, które dały Pani największą satysfakcję? „Parady"?, „Iwona księżniczka Burgunda"?, „Play Strindberg"?

— Mam jakiś stosunek uczuciowy do roli tak długo, póki ją gram. Potem to się kończy, zaczyna się coś nowego, do czego podchodzę z większym lub mniejszym uczuciem. Bywa, że wspominam rolę dlatego, bo zetknęłam się z jej okazji z jakimś interesującym zespołem ludzi, bywa też, że największą satysfakcję dał mi nie okres grania, lecz pracy nad rolą, rozgryzania jej, budowania postaci...

— A telewizja? Czy lubi Pani tę pracę? Przyniosła ona Pani tyle uznania, popularność w każdym niemal zakątku kraju. Do dziś tęsknimy za „Kabaretem starszych panów"...

— Lubię telewizję tak samo, jak każdą inną formę pracy aktorskiej — z wyjątkiem może monodramu, który zupełnie mnie nie pociąga. A co do „Kabaretu starszych panów", to sądzę, że powstałby także i wtedy, gdyby nie istniała telewizja — bo skoro istnieli Wasowski i Przybora, skoro spotkali się — musiał się narodzić. To prawda, że gdyby „Kabaret" miał formę sceniczną, nie dotarłby do tak masowej widowni. Ale żywe aktorstwo jest chyba najbardziej fascynujące, telewizja zaś zubaża je w jakiś sposób.

— Zawsze interesują mnie motywacje, dla których ktoś wybiera zawód aktora: piękny, ale równocześnie trudny, pełen ryzyka, Jak było z Panią?

— Wychowałam się w domu, w którym teatr był umiłowany, potrzebny do istnienia. Byłam jeszcze zbyt młoda, by myśleć serio o wyborze jakiegokolwiek zawodu, gdy moja starsza siostra studiowała w czasie okupacji w konspiracyjnym Instytucie Sztuki Teatralnej. Zajęcia odbywały sie tam po południu, w prywatnych mieszkaniach. Nie lubiłam po powrocie ze szkoły zostawać sama w domu, był to przecież w Warszawie czas łapanek, aresztowań, nalotów. Więc siostra brała mnie z sobą, w czasie zajęć siadałam w jakimś kącie i przyglądałam się: zaczęło mnie to fascynować, i pod koniec okupacji, mimo że jeszcze „nieletnia" byłam już de facto uczennicą owej szkoły teatralnej.

— A więc to ta nietypowa, przyśpieszona droga do teatru spowodowała, że zadebiutowała Pani na scenie już w roku 1946, jako młodziutka dziewczyna, najmłodsza chyba z ówczesnych aktorek?

— Tak. Było to w listopadzie 1946, na Wybrzeżu, w teatrze, kierowanym przez Iwo Galla, reżysera, scenografa i pedagoga. Graliśmy wówczas „Homera i Orchideę" Gajcego. Ale mój debiut poprzedzony był dwoma latami niesłychanie interesującej nauki w studium, prowadzonym przez Galla, najpierw w Krakowie, potem na Wybrzeżu. Nigdy nie zapomnę owych czasów tuż po wojnie — było głodno i chłodno, ale my tak bardzo chcieliśmy się uczyć, mieliśmy wspaniałych profesorów, a niezapomniany Iwo Gall był dla nas więcej niż pedagogiem, był ojcem niemal i opiekunem. Pamiętam lekcje z nim na krakowskich plantach, gdzie nas prowadził, abyśmy odetchnęli świeżym powietrzem, a jednocześnie kazał nam obserwować przechodniów, podpatrywać i notować ich cechy charakterystyczne. Tak uczyliśmy się niezbędnej w naszym zawodzie spostrzegawczości, rejestrowania obrazu życia.

— Potem grała Pani w Łodzi, we Wrocławiu, Zielonej Górze, aby po tym pionierskim okresie powrócić, już na zawsze, do Warszawy. Ale, kiedy mówiła Pani o swoich studiach, przyszło mi na myśl pytanie natury prywatnej: co robi Pani syn? Czy też już studiuje? A może pójdzie w Pani ślady?

— Studiuje archeologię śródziemnomorską, która jest jego ogromną pasją. Cieszę się, że wybrał zawód związany ze sztuką — bo ten krąg zainteresowań jest czymś w rodzaju azylu dla współczesnego człowieka, żyjącego na naszym targanym niepokojami świecie.

— Skoro już odeszliśmy od aktorstwa do spraw ściśle osobistych — proszę mi powiedzieć: czego Pani nie lubi najbardziej i co Pani najbardziej przeszkadza na co dzień?

— Nie znoszę chamstwa, chamstwa „z wyboru", które znamionuje nieraz osoby najwyższego, jak to się mawia „sortu", a które jest wynikiem bezmyślności lub lekceważenia norm, obowiązujących w stosunkach między ludźmi. A co mi przeszkadza? Chyba jak większości kobiet — brak czasu. Wiecznie zalatana bywam roztargniona, zdarza się, że nie poznaję znajomych na ulicy, a potem dręczę się, rozmyślając: skąd ja znam tę twarz? Na przykład ostatnio przypada do mnie jakiś pan i woła: serwus, Basiu! Patrzę na niego nieprzytomnym wzrokiem — kto to może być? Widocznie zauważył moje zmieszanie, bo mówi: przecież to ja, Andrzej, twój brat cioteczny! Inna rzecz, że nie widzieliśmy się dawno, no i jakoś zmienił się przez te lata...

— Właśnie: czy nie uważa Pani, że mężczyźni zmieniają się bardziej niż kobiety? Zaniedbują się, „zapuszczają" brzuchy i łysinki. A ileż jest kobiet zadbanych, wciąż szczupłych, pełnych wdzięku i młodych mimo lat, które mijają! Pani jest tego zresztą najlepszym przykładem.

— Dziękuję, ale...

— Proszę nie protestować. To my dziękujemy za miłą rozmowę.

Rozmawiała:
DANUTA SOCHACKA